

„Staroświecki meloman” – jubileusz Piotra Wierzbickiego

Iwona Smolka: Witam państwa serdecznie w imieniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Domu Kultury Śródmieście na wieczorne jubileuszowym Piotra Wierzbickiego. Jubileusz właściwie powinien być obchodzony w listopadzie, ponieważ jubilat urodził się piątego listopada 1935 roku w Warszawie. Dzieciństwo pan Piotr spędził w Domonowicach – majątku niedaleko Olkusza. To, jak ważne były spędzone tam lata, można najlepiej zrozumieć, kiedy czyta się *Zapis świata* – traktat metafizyczny napisany przez jubilata oraz niektóre z jego wybitnych felietonów – na przykład *Szum* (starej płyty) czy *Zaganiacz* (tekst poświęcony śpiewowi tego ptaka). Wówczas najlepiej dostrzega się tę ogromną wrażliwość autora – nie tylko muzyczną, literacką, lecz także zwykłą, ludzką – która musiała być niezbędna do napisania podobnego tekstu.

Piotr Wierzbicki debiutował jako krytyk literacki i jako krytyk utrwalił się w świadomości czytelników. W 1957 roku napisał ważny tekst *Pisarze i poeci*, w którym zostały omówione i przeanalizowane utwory Becketta, Camusa, Jastruna. Jubilat współpracował z takimi czasopismami, jak: „Współczesność”, „Literatura”, a wcześniej z pismem „itd”, które – choć młodzieżowe – okazało się bardzo ambitne i drukowało poważne teksty. Od 1972 aż do 1977 roku publikował stały felieton w „Literaturze”. Powodem zakończenia współpracy było to, że w 1976 roku Piotr Wierzbicki podpisał list w sprawie obrony uwięzionych działaczy KOR-u. Wtedy, jak sądzę, zaczęła się jego działalność opozycyjna. Po wyrzuceniu z redakcji „Literatury” Wierzbicki rozpoczął stałą współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym” – to istotna zmiana. Gdy myślę o tych wszystkich zmianach, które miały miejsce w życiu i twórczości pana Piotra, to zastanawiam się, co ukierunkowało jego zainteresowania, gdzie szukać ich pierwszych impulsów. Na początku, według mnie, byli: matka pianistka, ojciec profesor nauk ekonomicznych oraz pan Andrzej Wierzbicki, dziadek pana Piotra – polityk i działacz gospodarczy. Kiedy z perspektywy czasu przyglądamy się twórczości jubilata, to znajdujemy w niej z jednej strony na przykład felietony muzyczne czy książkę o Chopinie, z drugiej – literaturę; z trzeciej zaś – felieton polityczny, satyryczny, groteskę dotyczącą spraw społecznych i gospodarczych. Myślę, że pierwsze inspiracje wynosi się z domu. Stamtąd wywodzi się pamięć o tym, jak śpiewają ptaki, w jaki sposób można słuchać natury, oglądać gwiazdy. Waga tego dziedzictwa ujawniła się najpełniej w trakcie tworzenia traktatu metafizycznego. *Notabene* sądzę, że jest to najodważniejsza pana książka. To szalony pomysł pisać w dzisiejszych czasach traktat metafizyczny. Dlaczego napisał pan traktat?

Piotr Wierzbicki: Po co napisałem traktat? Po pierwsze, zawsze frapowało mnie pytanie o miejsce urodzenia. Mój dom to wszechświat. W węższym sensie moim domem jest jakieś mieszkanie, jakieś miasto, jakiś kraj, jakiś kontynent, jakaś planeta,

ktoś spośród galaktyk. Ale w takim najistotniejszym wymiarze mój dom to właśnie wszechświat: to, co widać gołym okiem (choć nie tylko gołym okiem – żeby zobaczyć więcej, potrzebny jest teleskop – ale nawet on nie czyni wszystkiego widzialnym).

Bardzo mądrze wspominała pani o moim dziadku. Gdy miałem siedem lat, on zabierał mnie na spacer po wsi – w lecie w pogodny dzień zsiłszy na górkę. Pokazywał mi gwiazdy, objaśniał kosmos – nauczyłem się takich słów, jak milion, miliard, duodecyllion, zanim jeszcze poznałem tabliczkę mnożenia. Zawsze mnie to interesowało. W którymś momencie doszedłem do wniosku, że muszę rozgryźć to po swojemu. A jak mógłbym to zrobić? Niestety nie dzięki obserwacjom przez teleskop, bo w tym celu trzeba było pójść na uniwersytet – na fizykę lub matematykę. Mogłem to zrobić tylko piórem, a dokładniej – długopisem, ponieważ maszyny ani komputera nie używam.

Słusznie zwróciła pani uwagę, że dziś nie pisze się traktatów, nie podejmuje się prób opisanego świata. Ale kiedyś to robiono – czynili to starożytni Grecy, jeszcze przed Sokratesem. Pisali książki. Wszystkie nazywały się *O naturze rzeczy*. Każdy filozof przedsokratejski musiał wykazać się taką pracą. Oni opisywali świat, ale nieszczęśnicy, Bogiem a prawdą, nie mieli do tego żadnych narzędzi. Myśl filozoficzna zdążyła poszybować bardzo wysoko, natomiast poziom wiedzy materialnej o Wszechświecie w starożytnej Grecji przed Sokratesem był właściwie żaden. Ci biedacy się miotali między czterema żywiołami: ziemią, wodą, powietrzem, ogniem. Nie potrafili pójść dalej, ponieważ żaden chemik, żaden fizyk, żaden astronom nie mógł ich poinformować, jak naprawdę ten wszechświat wygląda lub przynajmniej się przedstawia, wydaje się nam. Dlatego Sokrates, który studiował u filozofów przyrody jako młody człowiek, zniechęcił się, doszedł do wniosku, że to strata czasu, ponieważ filozofowie nie potrafili opisać świata. W końcu zajął się – duszą ludzką. Uznał, że jedyne, co warto robić w filozofii, to prowadzić pogawędkę na rynku, ciągnąc ludzi za język, sprawdzać, czy wiedzą, kim są, czym jest dobro i piękno.

Natomiast moja sytuacja była o niebo lepsza: pisząc ten traktat, miałem do dyspozycji zdumiewające odkrycia dokonane przez fizyków i kosmologów w ciągu ostatnich stu lat. Sformułowali oni prawa, które rzuciły zupełnie nowe światło na wszystko, co istnieje, na wszechbył.

Iwona Smolka: Wróćmy jednak do pana – w roku 1981 był pan internowany, a przedtem publikował pan jeszcze w „Zapisie” (między innymi fragmenty powieści Cyrk), współpracował pan z pismami podziemnymi, na przykład z biuletynem informacyjnym KSS KOR.

Piotr Wierzbicki: Tak, to był taki miesięcznik podziemny, w którym się ukazywały informacje o tym, co dzieje się w Polsce, oraz felietony. Drukowałem tam stały felieton pod tytułem *Listy do najlepszych*. Pisałem listy do towarzyszy z biura politycznego i kpiłem sobie z tego towarzystwa, ponieważ byłem przekonany, że nie warto narzekać, płakać – trzeba operować śmiechem.

Iwona Smolka: Później współpracował pan z czasopismem „Głos”. Pisał pan tam humoreski i satyry. Dzięki tej aktywności stał się pan znany jako Piotr Wierzbicki, który nie tylko bywa ironistą, humorystą, satyrykiem, lecz także potrafi przytyć.

Wydrukował pan w „Zapisie” *Traktat o gnidach*, który narobił bardzo dużo zamieszania. Myślę, że do tej pory wiele osób pamięta panu ten tekst. W latach 80. publikował pan felietony w „Tygodniku Powszechnym”, w latach 90. – pominię na razie czas internowania – dostał Nagrodę im. Antoniego Słonimskiego przyznaną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich za tekst roku *Familia, święta, dwór*. Potem otrzymał pan także Nagrodę Kisiela. Natomiast w rzeczywistości po przełomie pan Piotr Wierzbicki był współtwórcą i redaktorem naczelnym dziennika „Nowy Świat”, ale tylko przez pół roku. Pismo upadło?

Piotr Wierzbicki: Nie, wyrzucili mnie.

Iwona Smolka: Niech pan o tym opowie.

Piotr Wierzbicki: Nie, nie warto, to trwało bardzo krótko. Właściciele myśleli, że zakładam pismo nowego establishmentu. Akurat Wałęsa został prezydentem, a ja go w swoim czasie bardzo wysoko ceniłem. I nadal cenię – tego dawnego Wałęsę z epoki Solidarności podziemnej. Wtedy był wspaniały. No, ale Wałęsa szybko przestał mi się podobać, kiedy został prezydentem. Nie miałem zamiaru pracować w gazecie występującej się możliwym tego świata. Po prostu pisaliśmy, cośmy sądzili – i to się udziałowcom w sposób naturalny nie spodobało, ponieważ liczyli na coś innego. Oni chcieli żyć.

Iwona Smolka: W 1993 roku założył pan „Gazetę Polską”. Miał pan tam stałą rubrykę. To też szybko się skończyło; z „Gazety Polskiej” przeszedł pan do „Gazety Wyborczej”. To bardzo gwałtowna zmiana.

Piotr Wierzbicki: Nie było żadnego gwałtownego przejścia. Czasem słyszę takie opinie, że „Gazeta Polska” pod moimi rządami zamieniła się pod koniec w „Gazetę Wyborczą”. W żadnym wypadku się z tym nie zgadzam. My byliśmy bardzo radykalną gazetą – mnie się nie podobała Unia Demokratyczna i to, co wyrabiano za rządów Suchockiej. Działy się rzeczy skandaliczne. Mieliśmy oczywiście „Gazetę Wyborczą” na celowniku jako reprezentanta tego establishmentu.

W nurcie prawicowym, który reprezentowaliśmy (a ja ceniłem zarówno Piłsudskiego, jak i Dmowskiego – prawdziwego Dmowskiego, czyli tego z okresu pierwszej wojny światowej), pojawił się wówczas podnurt narodowo-katolicki. Charakteryzował się on orientacją promoskiewską – przeciw Stanom Zjednoczonym, przeciw paktowi północnoatlantyckiemu, przeciw Unii Europejskiej, przeciw związaniu się Polski z Zachodem. A przecież jednym z naszych głównych celów było znaleźć się w NATO oraz w świecie zachodnim. Pojawienie się tego nurtu w sposób naturalny spowodowało, że rozszerzyliśmy nasz front, że zaczęliśmy polemizować również z Rydzykiem. W tym konflikcie: czy iść z Europą, czy też przeciw; czy iść z Ameryką, czy też przeciw – znaleźliśmy się po tej stronie barykady, co „Gazeta Wyborcza”. Scena polityczna ma to do siebie, że krzyżuje się na niej zawsze kilka barykad. Ja sam pochwaliłem premiera Millera za to, że twardo negocjował w Brukseli traktat z Unią Europejską. Potrafiliśmy reagować na rzeczywistość, nie byliśmy ślepymi fanatykami. Nie potrafiono nam wybaczyć, że raczyliśmy odnotować, jak nurt narodowo-katolicki otwartym tekstem wychwalał Stalina w Rydzykowym piśmie „Rodzina Radia Maryja” za to, że załatwił powstanie warszawskie. Nie mogliśmy tego puścić płazem, zaczęliśmy z nimi wojować. To jest źródło poglądu, że zamieniliśmy się

w „Gazetę Wyborczą”. A to nieprawda! Myśmy w licznych kwestiach mieli do końca inne stanowisko: byliśmy proamerykańscy w sposób zdecydowany, a Gazeta Wyborcza – umiarkowany. Byliśmy zdecydowanie proizraelscy, ponieważ Izrael był dla nas przykładem kraju, który potrafi się bronić, a poza tym jest wysepką cywilizacji zachodniej. Byliśmy za reprivatyzacją, „Gazeta Wyborcza” – przeciw. Byliśmy zdecydowanie gospodarczymi liberałami, a „Gazecie Wyborczej” Balcerowicz przeszkadzał, bo był za bardzo liberalny. Mógłbym tak długo wymieniać – krótko mówiąc, nadal się różniliśmy, natomiast ja stępiłem ton polemiki. Spotkało nas jeszcze inne nieszczęście: Elżbieta Isakiewicz, moja zastępczyni, napisała dwie książki na temat stosunków polsko-żydowskich – i oczywiście pojawiły się głosy, że Piotr Wierzbicki został przekupiony za żydowskie pieniądze. Niestety takie jest życie, że człowiekowi zawsze wmawia się najbardziej nikczemne intencje.

Iwona Smolka: Bardzo dziękuję. Czas teraz na laudatorów. Pierwszym będzie pan Andrzej Chłopecki, dobrze znany nie tylko jako muzykolog i krytyk w Programie 2 Polskiego Radia, lecz także jako krytyk piszący o muzyce w „Gazecie Wyborczej”. Jako drugi laudację wygłosi pan Roman Kurkiewicz, doskonale znany wszystkim słuchaczom radia TOK FM, w którym prowadzi ciekawe i ważne rozmowy.

Andrzej Chłopecki: Szanowny i dostojny jubilate, szanowni państwo. Mam tremę. Mam tremę po raz pierwszy od lipca 1969 roku. Wtedy to sparaliżowała mnie podczas wykonywania między innymi *Ballady As-dur* Fryderyka Chopina i genialnej w swojej swoistej romantyczności *Fugi es-moll* z I tomu *Das wohltemperierte Klavier* z niezwykłym, poprzedzającym ją – niejako gitarowym – *Preludium*. Wiedziałem, że nie potrafię się zadomowić – jako pianista – w Chopinie, ale Bach? Bach był wyzwaniem i zadaniem. To właśnie ta fuga mnie „rozłożyła” i zadała mi, jako pianiście, cios śmiertelny. Przekonany o tym, że każdy dźwięk jej czterogłosowej konstrukcji – i w temacie, i w kontrapunktach – jest najważniejszy, naiwnie starałem się zrealizować utopię: wydobyć je wszystkie jako najważniejsze, artykulacyjnie każdemu z nich dając stygmat wyjątkowości. Okazało się to niewykonalne na fortepianie. Takie wykonanie Bacha – *ricercaru* z *Musikalisches Opfer* – dał Anton Webern, rozpisując Bacha na instrumenty orkiestry. I tak tamtego lipca – za sprawą tremy i Bacha – szczęśliwie nie dostałem się do warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej do klasy fortepianu. Pośpiesznie zapisałem się na muzykologię, już bez tremy.

Dzisiaj mam po raz pierwszy od tamtego czasu tremę. Jak rozumiem tu swoją rolę i względem mnie istniejące oczekiwania, powinienem mówić z sensem, a jak się uda – to i z jakimś powabem o postaci wyjątkowej i o szczególnym jej terenie zainteresowań, udokumentowanym licznymi tekstami. Wyjątkowość Piotra Wierzbickiego bierze się z jego wielospaltowej działalności społecznej, politycznej, a przede wszystkim – publicystycznej, w której tematyka muzyczna nie jest jedyną, lecz przecież niezwykająco wyrazistą. Dzieło życia jubilata widzieć więc można jako wielogłosową fugę kontrapunktujących się tematów, której obraz zapewne wymagałby więcej niż tylko dwóch instrumentów – laudatorów dzisiejszego wieczoru. Mam tu więc mówić o publicyście i felietoniście muzycznym, o autorze książek o muzyce – Piotrze Wierzbickim. Wydawać by się mogło,

że zadanie należy do łatwych, bo sam jestem egzemplarzem tej samej profesji. To przecież złudzenie – łatwo oto ulec pokusie mówienia o sobie, własne dylematy i rozterki przypisać nieprawnie przedmiotowi laudacji. Od 2003 roku nasze felietony – jego *Moje płyty* i moje *Słuchane na ostro* – były naprzemiennie publikowane w świątecznym wydaniu „Gazety Wyborczej” i – choć oba dotyczyły muzyki – poruszały się po trajektoriach, pomiędzy którymi trudno by znaleźć tematyczne zaszewienia. On o Bachu, Haydnie, Chopinie, Mozarcie, Beethovenie, incydentalnie o Panufniku, Palestrze, Lutosławskim; ja o Stockhausenie, Messiaenie, Cage’u, Xenakisie, Pendereckim, incydentalnie o Chopinie, Mozarcie i Bachu. On o wielkich pianistach przeszłości i repertuarze filharmonii, ja o estetycznych turbulencjach nowoczesności i repertuarach festiwalu nowej muzyki. Dwa światy. I tu ja, z mojego świata, mam mówić o świecie Wierzbickiego. I dlatego mam tremę.

Po tej przydługiej preambule chcę przecież podziękować bardzo serdecznie Iwonie Smolce za zaproszenie mnie na dzisiejsze uroczyste spotkanie, co poczytuję sobie za zaszczyt.

„Nie tak łatwo się dobrać do muzyki. Nie sposób jej przetłumaczyć na słowa. Nie da się ani wiarygodnie opowiedzieć o tym, co ona wyraża (bo brak jest odpowiednich słów), ani nawet gruntownie jej opisać (bo jedyną rzetelną jej prezentacją jest... ona sama). Pozostaje zachodzić ją opłotkami, salwować się metaforą bądź uczonym terminem, budować paralele, ferować wyroki. Ale jaką obrać metodę?” – to słowa Piotra Wierzbickiego.

Paul Valéry powiedział, a powtórzył za nim Claude Debussy, że muzyka zaczyna się tam, gdzie się kończą słowa. Ta diagnoza stała się w opisywaniu muzyki krytyczna, wyrokowała, że słowa w kontakcie z muzyką stają się bezradne i niewiele warte. Nie należało przecież z tej diagnozy wyciągać pochopnego wniosku, że skoro muzyki nie da się opisać, to należy tego procederu zaniechać z kretesem. Że nie należy próbować jej opisywać. No tak: nie da się opisać do końca, wystawić do końca, wyrazić do końca, wypowiedzieć do końca, nazwać właściwie do końca, ale o tym, czego się nie da słowami o muzyce powiedzieć do końca, trzeba tymi słowami próbować mówić tym bardziej – choćby nie do końca.

Piotr Wierzbicki w tekstach o muzyce mówi i pisze, udowadniając, że słowa potrafią sięgnąć tam, gdzie muzyka już się zaczęła, że mogą wejść na jej terytorium – nie jako intruz w sensach pogubiony, ale jako partner rozumiejący i współodczuwający, choćby skazany na rolę mniej lub bardziej sprawnego sprawozdawcy. Rolę podrzędną i służebną. Ale postawmy tu sprawę jasno, wyraziście i zgoła bezczelnie: jakimże by był żywot sztuki dźwięków bez towarzyszącej mu sztuki słowa – słowa informującego, komentującego, recenzującego, objaśniającego, wartościującego? Na ile i w jakim stopniu sztuka dźwięku bez sztuki słowa – mniej czy bardziej kompetentnego i o materię muzyki mniej czy bardziej właściwie zahaczonego – stałaby się sztuką niemą? Sztuką pozbawioną rezonansu. Rezonansem dźwięku jest więc słowo. W wypadku muzycznego pisarstwa Piotra Wierzbickiego owo „zahaczanie się” słów o dźwięki, jego „sprawozdawczość”

i komentowanie, przebiega nieustannie w dwóch wektorach: od słuchającego autora ku muzyce, by w nią wniknąć, ale i – a to chyba jest tu mocno wywyższone – od brzmiącej muzyki ku autorowi, by wniknąć we własne uczucia rodzące się pod wpływem muzyki. Wierzbicki przede wszystkim i nade wszystko opisuje swój emocjonalny odbiór muzyki, na dobrą sprawę mniej ją samą, swoich odczuć sprawczynię. Staje się przez to lirykiem.

Piotr Wierzbicki słyszy dźwięk i daje mu słowo. Pomiędzy słyszonym dźwiękiem i puentującym go słowem jest labirynt: ucho z trąbką Eustachiusza, mózg rejestrujący i katalogujący doznania, przyspieszanie i zwalnianie rytmu serca, fizjologia słyszenia, ochota do tanecznego podrygiwania i do melancholijnego w fotel opadania. Wierzbicki jest – tak to wynika z jego tekstów o muzyce – muzyki odbiorcą niemalże fizjologicznym, biologicznym. Pisze między innymi tak: „Lubię muzykę zabawową, wypoczynkową, ulgową. Lubię ją, dopóki ona jest sobą. Gdy zaś próbuje być „ambitna”, mądrzyć się, filozofować, protestować, wykrzykiwać pretensje, żale i roszczenia, wtedy podoba mi się mniej”. A gdzie indziej: „Używam wyrazu piękno w jego znaczeniu wąskim, a zarazem najbardziej potocznym. Utożsamiam piękno z tym, co miłe, co daje przyjemność, a nie rozterkę, przerażenie, ból, co harmonijne, kojące. Nie myślę piękna z wielkością. Nie wszystko, co genialne, musi być koniecznie piękne”.

Istnienie Piotra Wierzbickiego w pejzażu krytyki i felietonistyki muzycznej uważam za ewenement i orzeźwiającą dla czytelnika intelektualną przygodę. Oto mamy jego estetyczne, wynikające z kontaktów z muzyką „klasyczną” wyznania, wyznania „staroświeckiego melomana”. Meloman... Z jednej strony brzmi to dumnie, z drugiej – właśnie – staroświecko. Ten przymiotnik, „staroświecki”, na przekór potocznemu mniemaniu tutaj nie deprecjonuje, ale nobilituje i wywyższa spośród popolitości. A meloman... Meloman to pasjonat. „Maniak melosu”, czyli melodii. Skądinąd też rytmu, harmonii, barwy dźwięku. Meloman jest bezinteresowny, meloman reaguje na piękno, reaguje tak, by było mu estetycznie dobrze, a także by z tego miał coś więcej etycznie – uwznioślenie, otwarcie na jakieś wyższe, duchowe wartości i przestrzenie.

Ja nie jestem melomanem. Już nie będę miał na to czasu, choć chciałbym. Zajmuję się wyłącznie współczesnością z wybranego bez przymusu obowiązku, co nie znaczy, że mi to zajęcie nie daje wzruszeń estetycznych i nie otwiera na nowe przestrzenie. Teren moich wyborów nie dostarcza Piotrowi Wierzbickiemu ani wzruszeń, ani powodów do pisania (z wyjątkami). Teren jego wyborów nie dostarcza mi powodów do szczególnej aktywności krytycznej. Lecz przecież... lecz przecież wtedy, gdy Piotr Wierzbicki pisze o swoich czarnych longplayach, które przypadkowo także w mojej pamięci pozostawiły wzruszenia, jestem mu wdzięczny za to, że te wspomnienia mi ożywia. Jak choćby zespół Swingle Singers, śpiewający Bacha, moją ulubioną płytę z końca lat 60...

Piotr Wierzbicki jest ewenementem. Pozostaje w historii pisania o muzyce całkowi- cie osobny. Najbliżej mu w temperamencie być może do Stefana Kisielewskiego przez to, że nurt felietonistyki muzycznej splata się tu z politycznym. No ale Kisielewskiemu, autorowi *Gwiazdzbioru muzycznego*, chodziło o kompozytorów, a Wierzbickiemu częściej chodzi o ich interpretatorów. Nie wyobrażam sobie Stefana Kisielewskiego

prześluchującego kolejno dziesięć różnych wykonań symfonii Beethovena, by wychwytać różniące je niuanse interpretacyjne. Próby sytuowania Piotra Wierzbickiego na mapie muzycznej felietonistyki wydają się kłopotliwe. Jerzy Waldorff, Tadeusz Kaczyński, Bohdan Pociąg, Zygmunt Mycielski, Józef Kański, Ludwik Erhardt... Próby porównań zdają się zawodne. Być może Piotr Wierzbicki z racji temperamentu sytuuje się najbliżej Jana Webera, autora niegdysiejszych audycji radiowych z cyklu „Reminiscencje muzyczne”. Ale i Webera już nie ma, i Kisielewskiego, i Waldorffa, i Kaczyńskiego już nie ma, i Mycielskiego też. Nasz dzisiejszy jubilat jest wirtuozem słyszenia, dokumentuje je opisaniami brawurowymi; imponuje nadzwyczajną erudycją i zachwyca kształtem opowieści o przygodach własnej duszy. Czyni to w całkiem innej poetyce, niż robili to przywołani świadkowie sprawy.

Wskazując na wybitny artystycznie kształt zakończeń niektórych utworów choćby Chopina, sam daje taki popis końcówek swych tekstów: „Nie można słuchać samych arcydzieł – to niezdrowe”. „Bach jest dobry na każdą porę życia. Jak powietrze, woda i chleb”. To jedna z wielu z muzyki przejętych strategii pisania Wierzbickiego. Inną jest swoista refreniczność, nierzadko stosowane powtórzenia zdań rozpoczynających kolejne akapity felietonów. Do tego dochodzą świetne, skrótowe portrety bohaterów-kompozytorów, szczegółowo opisywanych w licznych tekstach.

„Jak Pan Bóg stworzył czas: Rozłożył akord” – toż to niemal diagnoza muzyki spektralnej, muzyki spoza kręgu bliższych zainteresowań Wierzbickiego – czyżby tę strunę szarpnął intuicyjnie? Choć spektralista powiedziałby, że Bóg, tworząc czas, rozłożył dźwięk, nie akord...

Ze sformułowań Piotra Wierzbickiego:

„Bach jako świat. Beethoven się przeciw światu buntuje, czasem wystukuje mu jego los, bywa, że z niego drwi. Haydn raduje się światem, Schubert wyplakuje jego tragizm, Schumann maszeruje i wiruje w rytmie świata, Chopin przedrzeźnia jego mignięcia i podrygi. Brahms дума nad światem, Debussy go maluje, Prokofiew parodiuje, uwydatniając spiczastości i zgrzyty. Bach, powiedziawszy światu, co o nim myśli, nie chce od niego już nic. Sam jest światem”.

„Beethoven – portret: Puknięty. No i wypukał to swoje *puk-puk-puk-puuuk*”.

„Mahler – portret: Placze – o zgrozo! – rzewnymi łzami. Na szczęście nie są cudze. Mają oryginalny skład”.

Wyśmienite są te szarże...

Zakończę próbą szkicu do portretu Piotra Wierzbickiego:

Staroświecki, arystokratyczny meloman, wrażliwy koneser i subtelny hermeneuta, muzykę czuje bardziej śledzioną, wątroba i trzustka niż rozumem, choć jego ucho kontroluje reakcje rozumu, a rozum trzyma w ryzach nadmiary uniesień. Zachwycony śpiewem wilgi i innych ptaszek wie, że bez kosmicznej *musica mundana* nie byłoby muzycznego rezonansu w *musica humana*, która z kolei nie zabrzmiałaby dla uciechy i pociechy człowieka pocziwego w postaci *musica instrumentalis*. Amen.

Iwona Smolka: Był to wspaniały portret muzyczny Piotra Wierzbickiego. Panie Piotrze, po ponownej lekturze kilku felietonów zamieszczonych w tomie *Lokaj* z 1985 roku, a poświęconych terroryzmowi, stwierdziłam, że są one wprost niewiarygodnie aktualne, zwłaszcza te, które dotyczą samej problematyki terroryzmu. Stwierdza pan tam między innymi, że: „Na nowych odmianach dobra pasą się nowe formy zła”. Nowe formy dobra to na przykład to, że raptem ważna okazuje się jednostka, a świat jest w stanie się o nią upomnieć i walczyć o jej życie. Wówczas wkracza nowa forma zła i pozwala na zabijanie bezbronnych, przypadkowych ludzi. To jedna z pańskich tez. Pomyślałam sobie, że właściwie nic się od tamtej pory nie zmieniło. Pisał pan również o czasach stanu wojennego, trochę z dystansem i tak, aby nie wyeksponować siebie za bardzo. Czy tak było?

Piotr Wierzbicki: Owszem, choć czasem jest to trudne do zrealizowania. Z jednej strony trzeba oczywiście zachować stosowne proporcje i nie przesadzić z pakowaniem własnej osoby do felietonów. Z drugiej zaś – nie należy tego zbyt rygorystycznie unikać, dlatego że po prostu czytelnicy to lubią. Czasem chcą się dowiedzieć, co autor tak naprawdę ma w głowie i wówczas niekoniecznie trzeba zastraszać się dystansującą formą.

Iwona Smolka: Poproszę teraz o drugą laudację pana Romana Kurkiewicza. Myślę, że będzie ona jednak różnić się w sądach od mowy pana Chłopeckiego, chociaż oczywiście laudacja to przede wszystkim pochwała.

Roman Kurkiewicz: Chciałbym najpierw zacząć od czegoś, co z jednej strony wydaje się powierzchowne i nieistotne, a z drugiej okazuje się jednak ważne. Zacznę od tego, jak jestem ubrany. Mój strój nie jest bowiem przypadkowy. Wczoraj brałem udział w sesji fotograficznej dla jednego z kolorowych pism. Musiałem wystąpić w roli, z którą się nie utożsamiam albo którą uważam za fałszywą. Tam też zostałem pięknie ubrany, czyli wyglądałem nieautentycznie. Szczerze mówiąc, miałem dzisiaj potrzebę, żeby stanąć tu jako ja prawdziwy, a nie jako ktoś, kto jest jedynie za mnie przebrany. I dlatego – ponieważ jeżdżę na rowerze – tak właśnie wyglądam. To wyraz szacunku dla osoby, o której będę teraz wygłaszał mowę.

Piotr Wierzbicki: Ja z tego samego powodu przyszedłem bez krawata, żeby trochę odoficjalnić tę uroczystość.

Roman Kurkiewicz: Niewiele jest takich osób w Polsce, z którymi – jak właśnie z Piotrem Wierzbickim – tak bardzo i przez tak wiele lat nie zgadzałbym się politycznie. Niewiele jest takich osób, które by mnie tak doprowadzały do szewskiej pasji, które by mnie tak irytowały, których argumentację bym odrzucał i których kaskady pomysłów politycznych wprawiałyby mnie w drżenie. To trwało latami. Zaczęło się od *Traktatu o gnidach (Rozkosznisie, czyli Epos gnidologiczny w czterech księgach)*, Warszawa 1991), który bardzo przeżyłem, poprzez książkę *Myśli staroświeckiego Polaka* (1985) oraz zajmowanie stanowiska w sprawie Lecha Wałęsy (*Bitwa o Wałęsę*, 1990), aż po kolejne proamerykańskie i prowojenne wystąpienia itd. Choć takich osób mógłbym wskazać niewiele, Piotr Wierzbicki jest jedyną spośród nich, która, wyznając tak skrajnie odmienne od moich poglądy, przez cały ten czas tak naprawdę budzi moją ogromną sympatię, serdeczną życzliwość i sprawia, że nie mogę się od jego książek oderwać, sięgam

po nie, jak tylko się pojawiają. Pierwszą z nich przeczytałem jako kilkunastoletni chłopak. Pamiętam, włożyłem się wtedy z plecakiem po Bieszczadach i uwielbiałem wchodzić do księgarń w małych miasteczkach, gdyż w tamtych czasach w małych miastach zawsze można było znaleźć książki, których w Warszawie czy Krakowie już dawno zostały sprzedane. I tam wygrzebałem *Entuzjastę w szkole* (1977). Szkoły nie lubiłem. To jest eufemizm za daleko posunięty, gdyż szkoły wręcz nienawidziłem, a nawet można powiedzieć, że nigdy tak naprawdę w niej nie byłem, ponieważ całymi nocami czytałem książki, w szkole odsypiałem, a gdy budziłem się, to grałem w piłkę, a potem znowu czytałem i przysypiałem w ławce. *Entuzjasta w szkole* pokazał mi, że ominęła mnie jakaś szansa spotkania z człowiekiem, który szkołę traktuje inaczej, który myśli inaczej i którego pisma chce mi się czytać. Powiem tak: przez te wszystkie lata, kiedy nie znałem Piotra Wierzbickiego osobiście (poznaliśmy się dopiero dwa czy trzy lata temu), cały czas mi on towarzyszył. Książki, które czytałem, były dla mnie polemiczne, ale wydaje mi się, że wiem, na czym polega mechanizm sprawiający, że do tych tekstów wciąż wracałem i uważałem je za ważne. Cieszę się, że udało się dziś jakimś cudem jeszcze nie powiedzieć tego, co chciałbym ze szczególnym naciskiem podkreślić. Otóż, moim zdaniem, domem Piotra Wierzbickiego jest coś kompletnie innego niż to, o czym dotąd mówiliśmy. Nie są nim ani wszechświat, ani muzyka. Nie jest nim też polityka. Domem Piotra Wierzbickiego jest bowiem polszczyzna. Wydaje mi się, że to, co autor robił przez te wszystkie lata – czy pisząc o polityce, czy też robiąc politykę, pisząc o muzyce albo zmieniając przedmiot swoich zainteresowań na kolejnych kompozytorów oraz twórczość coraz to innych wykonawców, lub też koncentrując się na tym, co działo się w Polsce – opierało się przede wszystkim na tym, aby to, o czym autor chce powiedzieć, zostało wyrażone zawsze słowem trafnym, celnym, niezbędnym, wyjątkowym i jedynym. Chodziło o to, żeby zbudować zdanie, które brzmi, które trwa, które potrafi wzbudzić takie emocje, o jakich mówiłem na początku. Piotr Wierzbicki jest mistrzem polszczyzny. Jego teksty możemy do dzisiaj czytać z niesłabnącym zaangażowaniem. Nie ma w tej twórczości przypadkowych zdań. To jest owa niezwykła odrębność, o której mówił pan Andrzej Chłopecki. Osobność Piotra Wierzbickiego. Otóż w każdy pomysł, który miał w danym momencie życia, autor wkładał cały swój niezwykły – genetyczny czy też wyuczony – zmysł dbania o to, aby fraza wybrzmiewała z całą mocą. Ta fraza może ranić, może śmieszyć, może być okrutna, jest jednak precyzyjna, porywająca i każe myśleć. To kolejna cecha, która w pisaniu jubilata była dla mnie zawsze najważniejsza. Otóż ja Piotra Wierzbickiego czytałem po to, żeby samemu uczyć się myśleć, żeby zmagać się z jego linią argumentacji, żeby kłócić się z nim i spierać. Rzadko trafiałem na podobnych czytelników. Wiedziałem, że ci pisarze, których kochamy najbardziej, często są podziwiani tylko przez garstkę. Lubiałem od czasu do czasu spotykać ludzi, z którymi wspominaliśmy akurat to nazwisko. Gdy jechałem dzisiaj na to spotkanie, również miałem taką okazję. Rozmawiałem przez chwilę z Kingą Dunin, która, jak sądzę, podziela większość moich niechęci do politycznych wyborów jubilata, jego nie zawsze przekonujących pomysłów czy sformułowań, ale przez chwilę oboje staliśmy i z zachwytem wymienialiśmy uwagi na temat

Zapisu świata (2009), traktatu metafizycznego pióra Piotra Wierzbickiego. Kto się porywa na bycie dzisiaj presokratykiem w Polsce, dwadzieścia lat po cudownej transformacji, o której niektórzy mówią, że jest po prostu sukcesem nas wszystkich, że oto wszyscy znaleźliśmy się teraz w lepszym miejscu? Niezależnie jednak od tego, czy ktoś podziela ów pogląd, czy też nie, nagle pojawia się opowieść o gwiazdach, świecie, materii, brzmieniu, strunie, o tym, co ja sam rozumiem, bez ciężaru autorytetów, ksiąg i cytatów. Sądzę, że właściwie w ostatnich latach powstało niewiele książek, które mi imponowały tak bardzo, jak ten traktat. To utwór, który wymaga czegoś, co właściwie we wszystkich wymiarach i we wszystkich wyborach życiowych Wierzbickiego, które tu opisywaliśmy, było decydujące. Mam na myśli odwagę umożliwiającą opowiedzenie się za własnym myśleniem, odwagę ponoszenia tego konsekwencji. Niezależenia się z tego powodu. Fraza o słowiku, który ma w sobie tytaniczny temperament, żeby wyrazić coś, czego nie znajduje w samym sobie, ponieważ w środku jest pusty, w pewnym stopniu świetnie charakteryzuje Piotra Wierzbickiego. Z jednym zastrzeżeniem: Wierzbicki jest tym, który o polityce, muzyce, świecie potrafi mówić z zapalczliwością słowika, a zarazem ma coś do powiedzenia. Za to ja Piotrowi Wierzbickiemu jestem wdzięczny.

Piotr Wierzbicki: Serdeczne dzięki za piękne słowa.

Iwona Smolka: A ja bym chciała pana zapytać o sformułowanie, które znalazłam w jednym z felietonów: „Kult przeszłości wprowadził dopiero romantyzm, a do tego czasu (czyli do czasu romantyzmu) słuchano zawsze muzyki współczesnej”. A zatem muzyka dawna była zapominana. To mnie zastanowiło, bo przecież my rzadko słuchamy muzyki współczesnej. Wymaga ona od nas dużej wytrzymałości.

Piotr Wierzbicki: Tak rzeczywiście wtedy było. Można powiedzieć, że przed Chopinem trwała nieustanna Warszawska Jesień, a innej muzyki nie słuchano. W epoce renesansu bywały nawet takie momenty, że za dawną uważano muzykę sprzed czterech lat. Uchodziła ona za starość, co skutkowało tym, że tej muzyki się nie wykonywało. Grywano tylko kompozycje współczesne. Tak było zarówno w epoce Bacha, jak i w epoce synów Bacha. Pomimo tego Bach nie został nigdy zapomniany. Elity niemieckie zawsze wiedziały, kim jest Bach – specjalista od korygowania organów, Bach wirtuoz i również Bach kompozytor. Natomiast w epoce jego synów tych kompozycji już nie grano, ale nie dlatego że je lekceważono, lecz z tego powodu że nikomu nie przychodziło do głowy, aby sięgnąć po utwory sprzed dziesięciu czy piętnastu lat. Rzeczywiście, dopiero romantyzm wprowadził ów kult przeszłości. Wówczas odkryto na nowo Bacha, to znaczy – zaczęto go znowu grać. Co prawda, ta miłość do przeszłości była nadal w epoce Chopina czysto platoniczna. Chopin, który z pamięci mógł wykonać trzynaście preludium i fug z pierwszego zeszytu, nigdy nie zagrał Bacha publicznie. Trio fortepianowe Mozarta zagrał raz i gęsto się z tego tłumaczył. Zaznaczał, że zrobił to z ciekawości. Wtedy grało się głównie salonową muzykę znajomych Chopina oraz muzyków wiedeńskich. Musiało minąć jeszcze pół wieku od jego śmierci, zanim ów dawny repertuar wszedł

na stałe do filharmonii. Ale jeszcze wielki Schweizer w swojej genialnej monografii Bacha zobowiązany był przekonująco uzasadniać, dlaczego *Koncerty brandenburskie* mogą być wykonywane publicznie. A w okresie międzywojennym, owszem, grywano Bacha, ale w przeróbkach. Uważano, że jego oryginalne kompozycje są dobre do szkoły muzycznej, natomiast grać trzeba Bacha „podrasowanego”, przerobionego na modłę romantyczną czy też postromantyczną. Dzisiaj z kolei wszystko przewróciło się do góry nogami. Muzyka współczesna została ograniczona do Warszawskiej Jesieni, a w oficjalnych repertuarach instytucji muzycznych brylują kompozycje wcześniejsze. Myślę, że były to cudowne czasy owej dawnej muzyki, gdy jednorazowe wystuchanie (trzeba pamiętać, że gdy Mozart skomponował kolejną symfonię, była ona grana tylko raz) dawało niepowtarzalny efekt. Publiczność skazana na jednorazowe wystuchanie wiedziała jednak, co jest dobre, a co złe. Krytyka muzyczna nie istniała jeszcze wówczas na taką skalę jak teraz, ale wyedukowana, wspaniała, elitarna publiczność na czele z cesarzem austriackim miała tak świetnie nastrojony słuch muzyczny, że jednorazowy występ wystarczał. Ja muszę kilka razy z rzędu wystuchać kompozycji Bacha, żeby naprawdę zorientować się i zrozumieć istotę ich niepowtarzalnego piękna. Gdzież nam do tych cudownych melomanów, którzy potrafili delektować się jednorazowym wykonaniem dzieła.

Andrzej Chłopecki: Jeśli można wtrącić się do tego tematu: jest taki zapis po jednym z koncertów. Autor tego tekstu był na występie, który określił jako bulwersujący. Wspomniany program ułożono w połowie XIX wieku i składał się tylko z utworów nieżyjących kompozytorów. Twórca zapisu uznał to za wybrzyk i ekscentryczność. Stwierdził, że sam pomysł, owszem, był ciekawy, ale gdyby tak grać nieustannie utwory nieżywych kompozytorów, to byłby to gwałt na historii.

Iwona Smolka: Tak się zmieniają czasy. Był pan przez dziesięć lat nauczycielem w szkole. Czy pamięta pan to doświadczenie?

Piotr Wierzbicki: Oczywiście że wszystko pamiętam. Jeśli cokolwiek wiem o życiu, ale nie tym redakcyjno-kawiarnianym, towarzyskim, tylko o normalnym życiu, to właśnie dzięki doświadczeniu pracy w szkole podstawowej oraz poczynionym wówczas obserwacjom. Właściwie mogę powiedzieć, że cały mój kapitał wiedzy o człowieku i życiu pochodzi z tamtych lat. Gdybym tam nie pracował, to byłbym takim literatem z Obór. Pisałbym dzienniki intelektualne i artystyczne, ale gdybym się zabrał do opisywania czegokolwiek, to szybko by wyszło na jaw, że nie widziałem tego na oczy, a moja wiedza jest jedynie gazetowa. Cenię pisarzy, którzy wiedzą, o czym piszą. Czechow jest dla mnie takim ideałem pisarza, który wiedział wszystko o ludziach. Jego przeciwieństwo to pisarz kawiarniany, który ma czasem poglądy słuszne i piękne, a wiedzę o życiu czerpie ze spacerów w Oborach. Takim trudnym do przecenienia doświadczeniem poznawczym była dla mnie szkoła, w której pracowałem z prostymi dziećmi z dzielnicy Muranów. Tam przeważały zresztą na ogół dzieci wojskowych i milicjantów, jako nauczycielki pracowały żony oficerów. Były to lata 60., realia niemal jak w szkole wiejskiej. Oczywiście istniały w PRL-u szkoły elitarne, do których chodziły dzieci inteligencji i dygnitarzy, ale szkoła, w której pracowałem, nie należała do takich placówek. Tamten okres

nie jest dla mnie tematem satyrycznym. To były przede wszystkim piękne chwile, śmieszne również.

Iwona Smolka: Dziękuję bardzo. Panie Piotrze, czy którąś ze swoich książek ceni pan sobie najbardziej?

Piotr Wierzbicki: *Migotliwy ton. Esej o stylu Chopina* (2010) jest taką ukochaną, bo ostatnią pozycją. Najwyżej ją zresztą cenię spośród czterech książek muzycznych. Jest też nich najkrótsza. Ale najwięcej czasu zajęły mi *Zapis świata* oraz książka *Struktura kłamstwa* (wydana 1986), którą pisałem prawie dziesięć lat. Stworzenie owego traktatu o metodach kłamstwa stosowanych w PRL-u wymagało ciężkiej, morderczej pracy. Może nawet mógłbym dostać za nią tytuł doktora, ponieważ spędziłem dziesięć lat na klasyfikowaniu cytatów oraz opracowywaniu przykładów. Co śmieszne, skończyłem ją pisać w 1981 roku i akurat 13 grudnia ta książka była już u maszynistki. Cieszyłem się, że rękopisu nie ma u mnie w domu, bo inaczej mogłoby się to dla niego źle skończyć. Dwa miesiące później, siedząc w internacie, otrzymałem wiadomość, że maszynistka, która była żoną oficera, wyrzuciła tę książkę na śmietnik. Strach był wtedy tak wielki. Ale nie ma tego złego, co się dobrem nie kończy, musiałem ją napisać jeszcze raz i dzięki temu okazała się lepsza, niż gdybym ją wydał od razu w pierwotnej wersji.

Iwona Smolka: Panie Piotrze, bardzo dziękuję. Dziękuję również laudatorom oraz Andrzejowi Ferencowi za przeczytanie tekstów jubilatą.

Piotr Wierzbicki: Ja też serdecznie dziękuję państwu za to, że tak pięknie o mnie i moich książkach mówiliście, oraz szanownej publiczności, która powinna oglądać mecz piłkarski, a przyszła na jubileuszowe spotkanie. Jeszcze raz serdeczne dzięki. A przy okazji mogłem sobie w pięknym wykonaniu posłuchać własnych tekstów, co też czasem bywa przyjemne.